

Łukasz Jasina: Wielkie rozczarowanie czy niepotrzebna wiara w mity?

Giedroyc i Mieroszewski byli przede wszystkim realistami. Ich dorobek (redaktora i publicysty) był dorobkiem żywym i podlegającym ewolucji i konfrontacji z rzeczywistością – pisze Łukasz Jasina w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Mieroszewski. Wyobraźnia (post)imperialna”.

Nazwę siebie pośmiertnym uczniem Juliusza Mieroszewskiego, o którego istnieniu on sam nie mógł mieć rzecz jasna pojęcia. Jeżeli dorastało się w latach dziewięćdziesiątych, gdy żył jeszcze jego wielki partner intelektualny, czyli Jerzy Giedroyc, nie mogło być inaczej. Nie mogło być też inaczej i później, kiedy wzrastałem w tym niemalże kulcie. Nawet swoją pierwszą naukową redakcję poświęciłem Giedroycowi i Mieroszewskiemu oraz dorobkowi paryskiej „Kultury”[1].

Niemniej były to zupełnie inne czasy – Giedroycia i Mieroszewskiego mistyfikowano. Uczyniono z nich (z Giedroycia szerzej, a z Mieroszewskiego tylko w wąskim gronie tzw. znawców) ikony pojednania. Tymczasem byli oni przede wszystkim realistami. Ich dorobek (redaktora i publicysty) był dorobkiem żywym, podlegającym ewolucji i konfrontacji z rzeczywistością. Tymczasem z biegiem lat – zwłaszcza w kwestii wschodniej (a osobliwie ukraińskiej) uległ on kanonizacji, niczym sztuka aktorska Konstantego Stanisławskiego. A

strażnicy kanonicznych interpretacji nie pozwalali na nowatorską dyskusję. Oczywiście, trochę upraszcam, ale takie już prawo wstępów do esejów.

Juliusz Mieroszewski tworzył swoją publicystykę w określonym miejscu i czasie. Był to powojenny Londyn, gdzie takich jak on emigrantów gnębiło poczucie osamotnienia i frustracji. Wielu z nich (w tym najlepszego, czyli Cata-Mackiewicza) przechwyciły dzięki temu peerelowskie służby. Mieroszewski się nie poddał, co zawdzięczał nie tylko niewzruszonym zasadom, ale i pewnej abnegacji. W Londynie przez trzy dekady pozostawał raczej człowiekiem osamotnionym i mało znanym, co opowiadał mi swego czasu sam Bohdan Osadczyk. Jego „linią życia” było pisanie dla paryskiej „Kultury”. Nie musiał się więc oglądać ani na koterie, ani na politykierów „londyniszczą”. Mógł też patrzeć z głębokiego dystansu.

Przeczytaj również: Mieroszewski aktualny mimo woli

Giedroyc jako redaktor i Mieroszewski jako autor tworzyli swoje idee i leczyli polskie traumy niejako „w próżni”. Przed 1989 rokiem były one znane niewielkiemu gronu, a ich szersza recepcja dla polskiej polityki to okres po roku 1989 kiedy niektóre z nich okazały się przydatne. Giedroyc miał szczęście – doczekał tego i nawet zdążył ich realizację widzieć. Mieroszewski umarł za „środkowego” Gierka, kiedy nawet „Solidarność” się jeszcze nikomu nie śniła.

Co miało być?

Mieroszewski jest teraz zmitologizowany jako ten, który przecierał szlaki naszego pojednania ze wschodnimi sąsiadami. Tymczasem był on zasadniczo prorokiem zupełnie innych kwestii, które po wojnie

wymagały znacznie większej odwagi niż mentalna rezygnacja z Wilna czy Lwowa. Mieroszewski znał się przede wszystkim (i to od „przedwojny”) na Niemczech i Niemcach. To w relacjach z nimi było przecież po wojnie traum najwięcej: po okupacji pozostały miliony ofiar i nieodwracalnie przemieniona Polska. To uregulowanie relacji z Niemcami było dla Polski kwestią najważniejszą (zresztą nadal nią jest). Ukraina, Litwa czy Białoruś to wszak jedynie dodatek do tej zasadniczej kwestii. Na tym odcinku Mieroszewski zachwyca realizmem. Rosnąca siła Niemiec pozwoliła mu przewidzieć ich dominację w Europie oraz walczyć o nasze prawa w tych relacjach. Na pewno po roku 1989 ostrzegaliby przed asymetrycznym uzależnieniem Polski od Niemiec, jakie miało wtedy miejsce, a wspierając konieczność naszego wejścia do europejskich wspólnot, nie uznawaliby go za cel sam w sobie. Na pewno jednak nie traktowałby polsko-niemieckich relacji i ich rozwoju jako jedynej wartości. Na tym wszak nie polega realizm, ale idee margrabiego Wielopolskiego. Polska po roku 1990 nie znajdowała się nigdy w tak złej sytuacji jak Kongresówka.

Jeśli chodzi o tak zwany obszar „ULB”, to znamy Mieroszewskiego przede wszystkim jako autora „doktryny Giedroycia–Mieroszewskiego” (nazwa oczywiście wymyślona *post factum*, kiedy zabrali się za nią egzegeci). Jako epigoni piłsudczykowskiemu ruchowi prometejskiego uznali oni najpierw w latach pięćdziesiątych że Polska winna wyrzec się (i tak nierealnych) roszczeń do terytoriów zabranych jej przez ZSRR w 1945 roku, a potem, już u schyłku życia Mieroszewskiego, w cyklu tekstów „Kultura” sformułowała zasadę, że dla istnienia polskiej niepodległości niezbędne jest istnienie niezdominowanych przez Rosję państw, takich jak Ukraina, Białoruś czy Litwa. Trudno jest temu przekonaniu – zwłaszcza sformułowanemu pięć dekad temu – nie przyznać racji. *Nota bene* – właśnie ono teraz zaczyna się starzeć.

Co jest?

Na początku był sukces. Czy była to zasługa Giedroycia, czy też Mieroszewskiego? Nie – raczej trochę im to przypisano. Na początku naszej niepodległości istniał przecież silny Związek Sowiecki, a i potem Polska, wbrew nadziejom różnej maści protobraunistów nie miała nigdy siły, by kiedykolwiek sięgać na Wschód po cokolwiek. Niemniej nasze elity zdają wtedy egzamin. Korzystając z okna możliwości wspieraliśmy i wspieramy od trzydziestu lat wszelkie dążenia niepodległościowe Litwy, Białorusi czy Ukrainy – czasem wbrew nim samym, tak jak to miało miejsce na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy na Litwie nie rozumiano znaczenia polskiego wsparcia (zresztą rozumie się je dopiero teraz). W tak rozumiany sposób wspierano każdą próbę wyemancypowania się Ukrainy spod rosyjskiej kurateli łącznie z najważniejszym ze wsparć – tym z lutego i marca 2022, kiedy Rosją podjęta próba odbudowania swojej imperialnej pozycji na Ukrainie. Klęskę ponosi Polska w jednej z tych kwestii – białoruskiej.

Przeczytaj również: Weszliśmy w okres idealizowania Jerzego Giedroycia

Niemniej należy podkreślać, że czasy się zmieniają. 1974 to nie 2026. Rosja to nie Związek Sowiecki i nie jest to zagrożenie egzystencjalne dla naszej niepodległości. Gwarantują ją zupełnie inne rzeczy – obecność w Europie, siła gospodarcza, relacje transatlantyckie. Dominacja rosyjska w Europie Środkowo-Wschodniej grozi nam niepokojem, ale nie utratą niepodległości. Z naszego punktu widzenia lepiej, by między nami a Rosją leżały państwa buforowe i niepodległe. Co więcej, te państwa istnieją. Niemniej, są one dla nas nie warunkiem istnienia, ale poprawą sytuacji. Nic zresztą nie zapowiada, by ten bufor przestał istnieć, nawet w wypadku ukraińskiej przegranej. W wypadku

dalszego trwania wojny będzie nas trawił niepokój, ale zagrożenie także nie będzie egzystencjalne. Za to my jesteśmy dla toczącej tę wojnę Ukrainy niezbedni. Nasz interes jest najważniejszy. Jak napisał sam „Londyńczyk”: „Zwyciężył nacjonalizm – lojalność pierwsza i najbliższa”[2]. Zawsze zwycięży – tak jest wszak w dojrzałym, europejskim państwie.

Łukasz Jasina

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [533]:
„Mieroszewski. Wyobraźnia (post)imperialna”**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*

Przypisy:

[1] Ł.Jasina, J.Kłoczowski, A.Gil (red.), *Aktualność przesłania paryskiej „Kultury” w dzisiejszej Europie*, Lublin 2007.

[2] *Finał Klasycznej Europy*, „Kultura” 1950, nr 2/28-3/29, <https://static.kulturaparyska.com/attachments/cd/3d/abdc3375c62155c9411c7f>

